

Czereśniowa Puszcza

*Uderzył piorun z ziemi prosto w chmury
Zebrał się z wody
Z drzenia gałęzi drzewa pod stopami wiewiórki
Ze wzrostu traw przygniecionych kopytami Jeleni,
świtem
Z trzasku drzwi zamykanych przed nosem, nadciągajacemu dniowi.*

W środku Tajgi na dwudziestu kilometrach kwadratowych rozciągała się czereśniowa puszcza. Czereśniowa, bo osiemdziesiąt procent jej drzewostanu stanowiły czereśniowe drzewa. Z rzadka była poprzetykana brzozą, sosną, jodłą, klonem. Jagodami, krzewami jeżyn i malinami. Skąd się wzięła puszcza dokładnie nie wiadomo. Jak głosi legenda, pewnego dnia urodziło się w Tajdze drzewo-król. Takie, jakie rodzi się w każdym z gatunków drzew raz na tysiąc lat. I to była czereśnia. Ale nie jakaś tam sobie czereśnia tylko król. Prawdziwy król. Z roku na rok rosła w siłę, aż stała się tak potężna jak najpotężniejszy dąb. Jej grube konary i pień pozalewane były żywicą od nadmiaru sił witalnych, a kora drzewa nosiła liczne rany po bliznach spowodowanych nadmiernym wzrostem. Czereśnia wydawała dużo kwiatów, do których chętnie zlatywały się owady. Obficie owocowała a to sprawiło, że wkrótce wokół drzewa-króla, zaczęły kiełkować wciąż nowe i nowe drzewa-wojownicy. Drzewo-król wydał wojnę innym drzewom Tajgi i na przestrzeni lat pokonał je, budując wokół siebie wielką puszcę. Na północy jego wojownicy przekroczyli rzekę i opanowali bagna. Na wschodzie oparli się o miasto. Rozeszli się na zachód wrastając w trakcje elektryczną. I rozeszli się na południe gdzie zapuścili korzenie na piaszczystych wydmach u podnóża gór. Tyle legenda. A jak było naprawdę nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy najbliższego z miast. Dla nich puszcza istniała od zawsze i była czymś tak oczywistym i normalnym jak reszta Tajgi. Natomiast faktem jest, że pewnego dnia,

w środku puszczy stanął zakład fryzjerski Kubiaków. Wypadkowa linii życia dwóch osób. Kazimierza i Genowefy.

Kazimierz urodził się w mieście Pawłowsk. W tym samym, które leżało opodal puszczy. Jego ojciec przywędrował w te strony z obwodu Riaziańskiego jako budowniczy Mostu Energetycznego „Południe-północ”. To była wtedy jedna z większych i ważniejszych inwestycji w kraju. Nie żałowano na nią pieniędzy, ani rąk ludu pracującego. W swoim zamyśle, miała ucywilizować najbardziej zapuszczone rejony państwa, ściągając w nie wykształconych ludzi i przemysł. W rzeczywistości powód był inny, ważniejszy. Miała uczynić część basenu Morza Arktycznego ważną strategicznie dla obronności kraju. W tym celu z miasta Grigorjewska, które znajdowało się w centrum zagłębia węglowego na samym południu kraju, zaczęto budować linie przesyłową o potężnej mocy, aż nad Morze Arktyczne. Gienadij, ojciec Kazimierza, zaciągnął się do pracy przy budowie, kiedy ta przechodziła niedaleko jego rodzinnej wioski. On i jego brygada zbudowali przez cztery lata jego pracy, dwa i pół tysiąca kilometrów linii elektrycznej. Licząc w linii prostej. I prawie drugie tyle doliczając boczne przyłączenia do mostu, mijanych miast i miasteczek. Po owych czterech latach i tysiącach kilometrów, które ojciec Kazika przeszedł pieszo od słupa do słupa rozwijając przewody i łącząc je ze sobą, budowa dotarła w okolice Pawłowska. Część brygad kontynuowała pracę dalej na północ a część została oddelegowana, żeby przyłączyć miasto Pawłowsk do sieci. To było proste i łatwe zadanie. Tym bardziej, że mocno angażowali się w nie sami mieszkańcy miasta. Po tygodniu pierwsza żarówka w pierwszym domu zapaliła się „grigorjewskim prądem”. Miasto wystawiło na ten cel huczą akademię. Wychwalano pod niebiosa budowniczych. Ich zapal i poświęcenie dla kraju. Były nagrody, medale i dyplomy. A wszystko to wręczał komisarz z „naczelstwa”. A na sam koniec była potańcówka. I stało się. Gienadij Kubiak poznał Nadieżdę dwojga nazwisk Zubowną-Woroszyłow. Dalej już poszło szybko. Ślub, mieszkanie, posada w Komitecie, narodziny Kazika. Wydawałoby się, że Kubiakowa wygrała los na loterii na której bez protekcji nie ma wygranych. Tymczasem Gienadij, bohater mas pracujących, wzór do naśladowania ... zniknął. Zniknął, kiedy Kazik miał cztery, może pięć miesięcy. Mówią, że nie wytrzymał, że poszedł dalej budować Most Energetyczny. Ktoś go tam gdzieś widział, ale czy to na pewno był on, nie wiadomo. Komitet go rozgrzeszył, bo jakoby „zawezwał go duch narodowej sprawy”, a on był przecież solą, potem i krwią tej budowy. „Takich

ludzi nam trzeba!” – Grzmiał z trybuny przewodniczący. Kubiakowa nie szukała, nie jeździła. Przy wsparciu komitetu postanowiła wychować syna sama. „W duchu narodowej sprawy” rzecz jasna. Razem z matką wiedli życie spokojne i proste. Mały Kazik był w szkole jednym z najzdolniejszych i najpilniejszych uczniów. Pierwszy zgłaszał się do wystąpień w akademii i pierwszy był do społecznego czynu. A przy tym oceny miał bardzo dobre. W domu był pomocny, a na podwórku najgrzeczniejszy. Wszyscy byli nim zachwyceni. „Wykapany ojciec” - niosło się po mieście. „Społecznik, aktywista i do tego jeszcze taki mądry”. Matka była niezmiernie dumna z syna. Był to już bowiem, drugi przypadek w jej rodzinie, że stawiano kogoś za wzór innym ludziom. Ale wszystko to trwało do czasu. Do czasu, kiedy to Kazika wezwała do siebie puszcza.

Nagle, ni stąd ni zowąd, zaczął zbierać słabe wyniki w nauce, znikać ze szkoły, zaniedbywać obowiązki, które wykonywał dotąd z taką ochotą. Traciła z nim kontakt matka, nauczyciele i rówieśnicy. Nikt nie potrafił odgadnąć, co się z nim dzieje. Z klasy siódmej do ósmej zdał dzięki wstawiennictwu matki, ósmej już nie ukończył. Nie chciał odpowiadać na pytania ani odrabiać domowych zadań. Uciekał z akademii i czynów społecznych. A przy tym zrobił się skryty i milczący. Strapiona matka załamywała ręce. Nie miała pojęcia skąd w młodym Kaziku zaszła taka nagła zmiana. Zaczęła go ciągać po lekarzach, znachorach a nawet poszła z nim do proboszcza. Na nic wszystko to się zdało. Nie można go było namówić do powrotu na słuszną drogę. Uparł się jak osioł. Żeby jeszcze było wiadomo, żeby jeszcze dało się z niego wyciągnąć, dlaczego się tak upiera wbrew wszystkim, ale Kazik przy każdej sposobności milczał jak skała. Zrozpaczona matka zaprowadziła go w końcu na milicję, żeby zadać mu strachu. Kazik posiedział tydzień w celi. Sam. O chlebie i wodzie. Kiedy wyszedł okazało się, że jest jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż wcześniej. I z jeszcze większym uporem odmawia chodzenia do szkoły. Co gorsza zaczął znikać w puszczy na coraz dłuższe godziny. Próbowano dojść do tego, co go tam tak ciągnie, ale nie znajdowano żadnego logicznego wytłumaczenia. Wtedy wszystkim przypomniała się legenda o królu drzew i ustalono, że to on właśnie rzucił na młodego Kazika z Pawłowska swój urok. Zaczarował go, kiedy Kazik był tam z całą klasą na szkolnej wycieczce. Błady strach padł na miasto i zabroniono dzieciom chodzenia do puszczy bez opieki rodziców. Matka pogodziła się z losem, a Kazik po porzuceniu szkoły, i kilku latach męczarni pośród ludzi, w wieku osiemnastu lat wyemigrował w odstępny las. Tam

własnymi siłami postawił drewnianą chatę pokrytą mchem i darnią. I jako małeletni przodownik i pionier dał się prawie wszystkim zapomnieć.

Genowefa urodziła się tuż pod Pawłowskiem, ale całkiem niedaleko domu w którym urodził się Kazimierz. Do szkoły trafiła późno ze względu na dawną przeszłość ojca kontrrewolucjonisty. Akurat jednak w czasie, kiedy to głośna była sprawa Kazika. Miała więc, okazję obserwować z boku cały szereg wydarzeń z tym związanych. Głośno zresztą komentowanych przez całe miasto. Sprawa bardzo ją intrygowała. Wiedziona zaś ciekawością zaczęła coraz bardziej skłaniać się ku puszczy. Być może powodowała to legenda króla drzew a być może była to ta zwykła ludzka ciekawość, żeby odkryć Kazikową tajemnicę. Bo jak się jej wydawało on taką miał. Sprytnie omijała zakaz chodzenia w tamtym kierunku samotnie, aż wreszcie udało się jej pewnego dnia podpatrzeć, co takiego Kazik robi w puszczy o czym nikomu nie chce powiedzieć. Przycupnąwszy za rozłożystym krzakiem z biciem serca dostrzegła go jak rozmawia z drzewem. Z ogromnym czereśniowym drzewem. To był ów król, o którym słyszała w mieście. To musiał być on, bo jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak ogromnego i dostojnego drzewa. To pod jego konarami Kazik zbudował sobie chatę. Wszystko, co zobaczyła wydało jej się strasznie dziwne. Kazik rozmawiał z drzewem! Ale o czym rozmawiał, nie mogła dosłyszeć. Była zbyt daleko. Wróciła do domu. Nikomu jednak nie powiedziała, co też takiego zobaczyła. Obudziłaby na nowo, ledwo co pogrzebanego ducha krucjaty. Przez tydzień cały nie zaglądała do puszczy. Odkryła tajemnicę, ale nie wiedziała co z nią począć. W końcu ciekawość znów wzięła górę. Nie udało się jej jednak dotrzeć do drzewa-króla i podpatrzeć jak Kazik z nim rozmawia. A bardzo, bardzo pragnęła dowiedzieć się, o czym prowadzi z nim rozmowy. Nie udało się jej, ponieważ wpadła na Kazika tuż na skraju puszczy. Zaskoczenie było ogromne. I u niej i u niego. Tak ogromne, że dopiero po chwili zdołała wykrztusić z siebie: „Wiem, że rozmawiasz z drzewem ! Widziałam !” Kazik na to ze złości odpowiedział natychmiast: „ A ja wiem, że chcesz zostać fryzjerką!” Zapadła kłopotliwa cisza. Oboje spuścili głowy, nie mając śmiałości spojrzeć na siebie. Genowefa rzeczywiście chciała zostać fryzjerką, ale nikomu wcześniej o tym nie mówiła. Skąd Kazik mógł o tym wiedzieć? Ale Kazik jej o tym nie powiedział. Minął ją bez słowa i poszedł swoją drogą. To było ich pierwsze spotkanie. Po raz kolejny spotkali się dopiero pięć lat później, kiedy stało się jasne, że ze względu na pochodzenie społeczne i ojcowską przeszłość Genowefa nigdy nie zostanie fryzjerką. To był

zawód zarezerwowany dla ludzi z wyższych sfer. Swoją frustrację przeniosła na dawną ciekawość do puszczy i Kazika. Tym razem nie skradała się już jak kot, by ukradkiem zobaczyć, co się tam dzieje. Po prostu zaczęła go odwiedzać w jego czereśniowej chacie. Kazik wcale nie był dzikusiem jak mówiono o nim w mieście, który rzekomo tylko czyha na to, by porwać jakieś nieopatrznie zabłąkane zbyt blisko puszczy dziecko. Był dla niej bardzo miły i grzeczny. A co najważniejsze rozumiał jej przygnębienie spowodowane niespełnieniem osobistych marzeń. Z roku na rok zbliżali się ku sobie, aż wreszcie Genowefa dojrzała do decyzji, by porzucić miasto i zamieszkać razem z Kazikiem w czereśniowej chacie. Nic nikomu nie mówiąc, po prostu wyszła z rodzinnego domu i już do niego nie wróciła. Jeszcze tego samego dnia, wzięli ślub pod konarami drzewa-króla, biorąc go na świadka ich wzajemnej miłości i ofiarowanych sobie nawzajem przyrzeczeń. W prezencie ślubnym pan młody, podarował jej zestaw fryzjerski składający się z nożyc i grzebienia, oraz wykonał własnoręcznie i przybił gwoździami nad wejściem wielki szyld z napisem „Zakład fryzjerski” ujmując ją tym bez reszty. Tak oto stała się żoną strażnika czereśniowej puszczy, który potrafił rozmawiać z drzewem.

Kiedy Kazik kończył lat trzydzieści pięć, a Genowefa trzydzieści cztery urodził się Józek. Śliczny i pulchny mały bobas, który z woli Kazika, miał być przeznaczony do objęcia po nim strażnikowej schedy. Tak podobno mówił drzewo-król. Podobno, bo choć Kazik umiał porozumieć się z nim doskonale, Genowefa nigdy w życiu nie usłyszała ani jednego słowa z „ust” drzewa. Wpatrywała się w pień, wsłuchiwała w szum liści, ale drzewo nigdy nic do niej nie powiedziało. Ale nie to było ważne. Ufała mężowi bezgranicznie i decyzję taką przyjęła, jako coś prawidłowego. Tym bardziej, że od kiedy mieszkali razem, byli naprawdę szczęśliwi. Znacznie bardziej szczęśliwi niżby mieli mieszkać w mieście. Kiedy Józek skończył dziesięć lat, przeszedł pod czujnym okiem ojca, specjalistyczne szkolenie odnośnie pilnowania puszczy. I zapowiadał się na naprawdę wielkiej klasy fachowca. Przez ten czas ani razu nie był w mieście i wcale go tam nie ciągnęło.

Sezon na czereśnie mieli w pełni. Zresztą jeszcze im się nie zdarzyło, żeby któryś nie był. Puszcza była tak ogromna, że jak w zimie poginęły kwiaty na drzewach na południu, to mieli urodzaj na północy. Jak nie obrodziły na wschodzie to obrodziły na zachodzie. Nigdy jeszcze nie było tak, żeby nic nie było. Kazik i Józek pilnując puszczy wcześniej musieli wstawać, bo jak owoce dojrzewały

to się mrowie glap zlatywało z całej okolicy. Żeby sobie podjeść. A że Kazik został powołany przez drzewo-króla do obrony puszczy przed glapami, to też miał na nie piękną tykę uszykowaną. Giętka i długa była. Z przekładnią u rękojeści. Tak, że jak się zamachnął, to ptak dostawał cios z opóźnieniem ale jak dobrze w krzyż trafił, to szkodnik aż plecy prostował. A Kazik oko sobie przez te wszystkie lata wyrobił. Wiedział, że płotki nie ma co walić, tylko w szefa trzeba celować. Tego, co najwięcej krzyku robi w gałęziach. Józek za mały był na tykę z przekładnią. Miał zaledwie dziesięć lat. Zamiast tyki, miał procę elegancko zdobioną, rękodziełem ojca. Józek po tacie też celować umiał. Najgorzej było jak zaspali. Glapy były już tak spasione, że siły odlecieć nie miały. Leżały pod drzewami z nogami do góry obojętne na to, co się z nimi stanie. Niektóre mogły mieć i po siedem kilo wagi. Takie łakome były. Glap nie jedli, bo się brzydzyli. Te spasione Kazik zabierał i nosił nad rzekę. Jak się uzbierało ze sto, to budował tratwę taką, co się nie przewróci, a potem pakował na nią powiązane ptaszyska w szeregi i spływem je na wycieczkę wysyłał. One strasznie nie lubiły wody. Jak tylko tratwa odbijała od brzegu, to zaraz wpadały w histerię. Kazik miał na nie sposób. Kiedy odpływały gapiąc się na niego jak na najgorszego złoczyńcę. Groził im pięścią, a potem krzyczał: „Cicho! Cholera jasna! I żebyś was tu więcej nie widział!” No i siedziały cicho do pierwszego zakola rzeki, żalując swego łakomstwa i rozpaczając nad swym losem ale potem znowu histeryzowały. Józek nie wiedział czy słowa ojca odnosiły pożądaną skuteczną. Nie wiedział ile z tych glap, co pojechały na wycieczkę wróciło do puszczy, żeby ją objadać od nowa. Rozróżnić ich nie mógł. Kazik je rozróżniał. Po tym jak skrzeczą i jak rozrabiają. Każda miała swój niepowtarzalny styl. Choć oczywiście nie znał wszystkich glap. Znał szefów gangów. I tak, na północy puszczy, tam w bagnach, rządził ze swoimi Kulawy. Na zachodzie, Dziobaty. Na południu, we wydmach, Suchotnik. Ale nie za blisko gór, bo od nich czasem porządnie chłodem wiało. Na wschodzie rządziła Glaperia. Ta to im krwi napsuła. Strasznie nieuchwytna była i niczym jej silnie przestraszyć nie szło. Bywało, że całe dni spędzali poza domem uganiając się z jednego końca puszczy na drugi. Wieczorem wracali zmęczeni jak nie boskie stworzenia. Po to, by rankiem znów wyjść bronić drzew. W tej dekadzie lata, a był to sierpień Kazik i Józek uganiali się po południowej części puszczy. W północnej było już po czereśniach. We wschodniej i zachodniej przechodziły w dojrzewanie a w południowej były najlepsze. Wszystkie ptasie gangi teraz tam grasowały. Ma się

rozumieć, że Kazik z Józkiem znali ten obyczaj i obecni byli gdzie trzeba od samego ranka.

Kiedy oni wychodzili do pracy Kubiakowa dom prowadziła. Prowadzenie domu polegało głównie na sprzątaniu i gotowaniu posiłków. O ile z tym pierwszym dała sobie radę szybko i sprawnie, to drugie, wydawało się jej wyjątkowo trudne. Przecież wokół nie było nic ino czereśnie. Nawet grzyby i jagody kolorem i smakiem przypominały czereśnie! Cierpliwość Kazika została wystawiona na długą próbę. W końcu jednak udało jej się ustalić jadłospis, jak się wydaje optymalny. I tak: na śniadanie Kubiakowa robiła przeważnie marmoladę z czereśni zerwanych na północy puszczy. Drzewa rosły tam na podmokłym gruncie i owoce przez to smak miały lekko potasowy. Do tego podawała herbatę z czereśni. Na obiad robiła pulpety czereśniowe duszone w pustym pniu po wiekowej brzozie opodal zakładu. Na dymie kory czereśniowej. Jako następne danie szedł rosół z czereśni. Kisiel albo budyń z czereśni plus przystawki z grzybów. A do popicia kompot z czereśni. Na kolację mąż i syn dostawali sztywno klepane placki czereśniowe z jagodami, a jak któremu było mało to mógł pestki sobie porozgryzać. Dla zabicia czasu i ogólnego pomyślunku oczywiście. Od święta, zajadali czasem mięso zajęcy połapanych w sidła, i ryby złowione przez nich w rzece. Rzecz jasna, przyprawione odpowiednio czereśniami. Kubiakowa przy posiłku albo w ogóle to gadać lubiła. A kiedy ich nie było, to sobie przy gospodarskiej robocie śpiewała. Najczęściej piosenki legendy o Czterech Muszkieterach: sir Persilu, Arielu, Vizirze i Radionie. O pannie Dosi co Max Factora nie chciała. I o księżniczce Princessie co ją smok Malox połknął siarką buchając. Przynajmniej raz dziennie, kiedy Kazik z Józkiem byli w puszczy, otwierała szkatułkę. Swój skarb. Przechowywała w niej starannie wyczyszczone narzędzia fryzjerskie. Przyglądała się im, wzdychała, próbowała czy aby nożyce nie skrzypią i czy aby grzebień nic z gibkości nie stracił. Oj, dawno już nie miała żadnej głowy do strzyżenia.

Ludzie z Pawłowska pojawiali się w puszczy dość często, ale z reguły widywali ich tylko na obrzeżach. W czereśniowe odstępki nikt zapuścić się nie śmiał, tym bardziej ostrzyc. Bo tam „straszył” Kazik. Kubiakowa ćwiczyła więc, swą sztukę fryzjerską na głowach współdomowników. Kazik i Józek mieli glace przystrzyżone modelowo. Gdyby Kubiakowa wiedziała, że gdzieś tam w świecie odbywają się konkursy piękności, pewnie obaj zajęliby miejsca w czołówce. Od czasu do czasu jednak do puszczy zaglądali obcy, dla których nie byli naznaczeni żadnym

piętnem. Ale jeśli już coś takiego miało miejsce, to z reguły pobyt taki nie trwał dłużej niż kilka dni. Najpierw byli zachwyceni ogromem czereśniowego dostatku, ale pod wieczór, wszystko im brzydło. Najgorszy był niejaki Zorro. Kapelusza ani maski z głowy zdjąć nie chciał. Choć Genowefa nakłaniała go do tego z uporem osła. Na nic jednak zdawały się jej prośby i podchody. Tamten cały czas gwizdał tylko na swojego, czarnego jak sam diabeł konia a potem skakał mu na plecy z dachu i wściekle jeździł dookoła domu szablą machając. Józkowi się podobało, ale Kazik mówił, że chyba mu się koń zatruł i wybiegać go musi. Narwany był ten Zorro jak jasny gwint. Jeszcze gorzej było z czterema pancernymi, którzy nie dość, że zryli im gąsienicami od czołgu całe obejście, to zaraz zażądali czegoś do picia. Kubiakowa dała co miała, czyli kompot z czereśni. Wypili całą kanę tak łapczywie, że połowa z tego powylewała im się na brody i ubrania. Na początku, jak wszyscy zachwyceni byli puszcą. A szczególnie obfitością czereśni, którymi objadać się mogli do woli. Ponieważ wojna akurat się skończyła postanowili zostać w tym cudownym miejscu jakiś czas dłużej. Wieczorem rozpalili ognisko, opowiadali im swoje frontowe przygody i śpiewali żołnierskie piosenki. Obiecali nawet, że pomogą Kazikowi puszczy bronić, a Józek to nawet miał spać w czołgu przez jedną noc. Po trzech dniach śladu po nich nie było. Kazik zły był jak jasny piorun. Tyle razy im mówił, żeby swoje frontowe kupy robili dalej od domu, ale widać żaden go nie posłuchał, bo waniało wokół aż strach, że nie wspomnieć o psie, który rąbał klocki gdzie popadło. Puszczy też nie bronili, bo spali do południa i placki im wyzarli. Z tego wszystkiego tylko Kubiakowa najszczęśliwsza była. Aż cztery głowy jej się do strzyżenia trafiły, co już dawno miejsca nie miało.

Złość jednak w Kaziku tak szybko jak wzbierała tak szybko mijała. Podejmował gości bez entuzjazmu, ale zawsze poprawnie. Ich obecność zakłócała mu rytm dnia. I to był jedyny powód braku entuzjazmu. Poprawność zaś wynikała z faktu uszczęśliwiania żony możliwością wykazania się przy pracy fryzjerskiej. Taką miał naturę. Rytm dnia był dla niego bardzo ważny. Został przecież powołany przez drzewo-króla do obrony puszczy przed glapami. A każde spóźnienie się na stanowisko łowne, czy wręcz zaniechanie obrony na jeden dzień w sezonie, to była prawdziwa katastrofa. Katastrofa wynikająca z ogromnego łakomstwa glap. Kiedy wyczuwały, że nikt ich nie pilnuje natychmiast rzucały się do prawdziwie dywanowych ataków na drzewa a siłę ich można było liczyć w setki. Ilość na szczęście nie przechodziła w jakość. Ich tchórzostwo było jeszcze większe niż

łakomstwo. Toteż, gdy tylko się pojawiał, natychmiast uciekały z najlepszych miejsc, musząc zadowolić się gorszymi. Poza tym Kazik był z tych, co wciąż muszą mieć zajęcie, bo inaczej usychają w oczach. Czasem wydawało mu się, że ze względu na tę swoją cechę drzewo-król wybrał go na swojego strażnika. Był gorliwy i sumienny i potrafił szybko wciągnąć się w miłe dla siebie zajęcie prawie bez pamięci. Po złożeniu przysięgi czereśniowemu drzewu, zaczął gonić glapy po puszczy, stając się jej gospodarzem, panem i obrońcą. Do tego nie potrzebna mu była szkoła ani zawód. Ani znajomość alfabetu. Nie wyobrażał sobie sytuacji, kiedy puszcza przestaje istnieć, bo i on przestałby wtedy istnieć. Miasta bał się jak ognia a drugiej takiej puszczy przecież na świecie nie było. Oczywiście Kazimierz nigdy nie rozmyślał na tym ani zbyt długo ani zbyt dogłębnie. Dla niego wszystko, co miał wokół miało istnieć zawsze, bo tak było dobrze i koniec. Kilku wędrownych kaznodziejów, zgodnie ze swym duchem i powołaniem próbowało nawrócić Kazimierza na słuszną drogę. Jasno wykazywali mu, że jego życie jest bez sensu, że to, co robi nikomu nie jest potrzebne i pożytek z tego żaden. Kazik pokornie słuchał, potakiwał głową, przyznawał rację i obiecywał poprawę. Ale gdy tylko płaszcz kaznodziei ginął wśród drzew, pędem łapał swoją tykę z przekładnią i gnał wspomóc Józka, który samotnie trwał na posterunku. Po dotarciu na miejsce wprawnym okiem omiatał korony drzew oceniając liczebność przeciwnika. Na Józka nigdy nie krzyczał. Zdawał sobie sprawę, że za mały jest, by skutecznie się bronić. Bez słowa więc, naginał swą tykę i systematycznie zaczynał trzaskać glapy po tyłkach, aż nie trafił w szefa, który jęcząc z bólu natychmiast dawał znak do odwrotu. Kiedy Józek pytał ojca, co chciał ten pan w czarnym płaszczu Kazik nigdy nie potrafił powtórzyć. Obrona puszczy to był pewien rodzaj Kazikowej religii. Kochał wstawać wcześniej, tak by rosę strącać z traw, w porannym marszu na stanowisko. Nie przeszkadzała mu ciężka, syzyfowa praca bez odpoczynku ani późne powroty. Każdy dzień, każdy świt był dla Kazika rozkosznym tańcem, co porównać by można tylko do uderzenia pioruna z ziemi, prosto w chmury.

Zimą puszcza wyglądała kiepsko. Życie rodziny Kazimierza traciło na tempie. Stawało się senne i lepkie. Zapadało w letarg. Drzewa traciły liście. Trawę pokrywał śnieg. Puszcza w niczym nie przypominała letniego raj. Uganiały się teraz po niej za zajęciami głodne wilki, których latem nigdy tu nie było. Czasem natrafiali nawet na ślady łap niedźwiedzi. Zakład fryzjerski przypominał obecnie chatkę z bajki. Jego dach pokryty był puchowymi bałwanami śniegu, który z dołu

sięgał po strzaskane wichrami i mrozem okiennice. Z boków wydawał się podporać skromny budynek. W środku w izbie było sucho i przytulnie. Przesiąknięte żywicą gałęzie drzew czereśniowych, które Kazik z Józkiem zbierali na jesieni palone w kominku, dawały ciepło i rozchodziły się po pokoju wspaniałym zapachem. Jakby mieszanką najprzedniejszych owoców i leśnych kwiatów z nad brzegu rzeki. Nad kominkiem suszyły się zioła, które Genowefa zebrała przez wiosnę i lato, a które teraz służyć im miały, ku utrzymaniu sił i zachowaniu dobrego samopoczucia. Nie znaczy to, że po nich zbierało im się na tańce. Wręcz przeciwnie. Jak wszystko wokół, działały na nich sennie i kojąco. Rytm życia ich ciał spadał do minimum. Ruchy były oszczędne, powolne. Puls tykał tylko z zasady, dając im znać, że jest obecny. Kazik wyprawiał skóry lisów i zajęcy. Mieli teraz najwięcej mięsa w roku. Choć wszystko było suszone to i tak smakowało wyśmienicie. Skórami upolowanych zwierząt Kazik gościł legowiska swojej rodzinie na domowym zapiecku. Sprawiając, że był on teraz najprzytulniejszym miejscem w całym domu. Kubiakowa przez całą zimę śpiewała. Choć po tysiąc razy słyszeli te same piosenki, kiedy zaczynała śpiewać w chacie robiło się cicho. Jej głos działał na nich jak zaczarowana harfa. Józek zaś rzeźbił z wywieszonym językiem, z czego się tylko dało, bohomyzy. Bo duszę artysty miał. No i była jeszcze jedna rzecz, dla której na zimę warto było czekać. A był to starannie przygotowany, według przemyślanej receptury Genowefy, słód czereśniowy. I to było dopiero coś!

Po długiej srogiej zimie i krótkiej wiośnie, znów nadeszło lato. To lato miało być jednak inne niż poprzednie. W zimie długo nad nimi świeciła kometa. Tak jasna jak sam księżyc. Zaś w czerwcu Kazik zauważył, że jakaś zaraza zaatakowała drzewa za rzeką. Coś objadało je z liści i to tak dokładnie, że sam nie zrobiłby tego lepiej. Początkowo złożył to na karb jakiejś dziwnej, nie znanej mu dotychczas choroby, ale później zauważył, że drzewa same w sobie są zdrowe. Nie drażyło ich żadne robactwo ani nie usychały, co też mogłoby być przyczyną utraty liści. Ptaki też tego nie mogły zrobić, bo owoce dopiero zawiązywały się na gałęziach. Chyba, że byłyby tak głodne, iż nauczyłyby się żreć liście z tęsknoty za czereśniami. To jednak nie mogły być one. Wokół poranionych drzew panował porządek. Z zaginionych liści, nawet resztek nie zostało. Gdyby to były glapy, zastaliby bałagan taki, jaki zawsze pozostawiają po swoich ucztach. Z wolna zaczął podejrzewać, że to ludzie z Pawłowska ogałacają drzewa z liści, bo te są im do czegoś potrzebne.

Ustanowił, więc ścisły nadzór w miejscu za rzeką. Ustawili się z Józkiem na czatach, ale dni mijały i żadnych ludzi nie dostrzegli. Tymczasem kolejne drzewa odkrywali ogołocone. Kazik nie mógł zasięgnąć rady czereśniowego drzewa-króla. Musiał poczekać na czas, aż ten wyda swój pierwszy owoc. Dopiero po jego zjedzeniu uaktywniała się w nim zdolność porozumiewania z drzewem, którą tracił z nastaniem zimy. Chodził, więc wokół niego jak Indianin przed wyprawą na wojnę, z niecierpliwością wyglądając pierwszej dojrzałej czereśni. Stało się to dopiero pod koniec czerwca, a do tego czasu już nie jedno ani dwa, tylko kilkadziesiąt drzew zostało zniszczonych. Czereśniowy król był bardzo zasmucony tym, co działo się za rzeką. Drzewa wojownicy dawno donieśli mu o obcych, ale i on musiał czekać, aż uda mu się porozmawiać z Kazikiem. Kazał mu udać się tam jeszcze tej samej nocy. Bo to w nocy drzewa padały ofiarą rabusiów. Nie była to dla Kazika zbyt szczęśliwa wiadomość. Znał puszcę jak własną kieszeń ale, w nocy nigdy nie czuł się pewnie. Za dobrze pamiętał jak pierwszej zimy pogoniła go wataha wilków. Co prawda teraz nie było tu żadnego, ale noc to zawsze noc. To, czego nie widzisz, zawsze może się zdarzyć. Uczynił jednak tak jak zostało mu powiedziane. Zapalił pochodnie, przeszedł przez rzekę i całą noc pilnował drzew. Dzięki jego czuwaniu żadne z nich nie ucierpiało. Ale też nikogo nie spotkał. Drugiej nocy zabrał ze sobą Józka. Dla dodania sobie odwagi. Tym razem nie zapalali pochodni. Po dotarciu na miejsce, zalegli między drzewami, w trawie. W zupełnych ciemnościach. Księżyc jak na złość przesłoniły na całą noc chmury. Kazik jak myśliwy, musiał polegać teraz wyłącznie na swojej intuicji. Grubo po północy dobiegł ich uszu ledwie słyszalny szmer. Istoty skradającej się. Przyzwyczajony do spokojnego życia, Kazik w napięciu nasłuchiwał momentu w którym, mógłby wyjść z ukrycia i złapać złodzieja. Kiedy upewnił się, że oto nadeszła najwłaściwsza chwila, żeby załapać rabusia, na którego zasadzili się z Józkiem, zerwał się z miejsca i rzucił się w jego kierunku. W biegu zapalił pochodnie, a do drugiej ręki wziął sporych rozmiarów drąg. Tym drągiem chciał ukarać zbója za jego zuchwalstwo. Dla dodania sobie odwagi, narobił krzyku co niemiara. Zaczął szaleć i motać się między drzewami w te i we w te i nikogo nie złapał. Józek, który został w tyle, dopiero teraz dołączył do ojca. Został go zziąjanego, bezradnie rozkładającego ręce w geście niepowodzenia. A przecież obaj wyraźnie słyszeli mlaskanie. Takie mlaskanie, jakie sami wydawali przy zajadaniu pysznego słoju czereśniowego. Stanęli nieruchomo i znów zaczęli nasłuchiwać.

Tym razem ciszy puszczy nie mącił jednak żaden podejrzany odgłos. Spokojnie zaczęli obchodzić drzewa oświetlając je pochodniami. Zaczęli zbliżać się już nawet do miejsca, w którym leżeli na początku zasadzki, kiedy nagle Józka wmurowało w ziemię tak jak stał.

- Tato! Tato! – zawołał niecierpliwie, głos mu z lekka drżał a głowy w kierunku ojca odwrócić nie śmiał, by z oczu nie stracić tego, na co patrzył.
- Tato, chodź szybko!
Kazik rozgarniając gałęzie na boki, dopadł do syna i jego tak samo zamurowało. Dopiero po chwili wpatrywania się w drzewo zdołał wydukać:
- A co to jest u licha?
W blasku pochodni wpatrywali się w coś, co tak samo jak oni było nie mniej zaskoczone tym nocnym spotkaniem. To coś Józek wypatrzył prawie w pół kroku z gałęzi na ziemię i swoim okrzykiem zatrzymał jak na kliszy fotografa. W bezruchu. To coś miało małe, śliczne aczkolwiek pełne przerażenia oczka a buzię wypchaną liśćmi, które wystawały mu z ust na zewnątrz. Nie zdążył bądź nie śmiał ze strachu ich połknąć.
- Co to jest u licha? – Powtórzył Kazik. Wysunął się trochę do przodu nadstawiając pochodni, żeby dokładniej się przypatrzeć. Wyciągnął drąg przed siebie i powolutku szturchnął to coś w okolicy żeber. Coś patrząc jak drąg zbliża się ku niemu, zaczęło piszczeć z przejęcia. Z buzi wypadły mu wszystkie liście. Uciekać jednak w dalszym ciągu nie miało odwagi.
- To mały zielony ludzik – wymyślił Józek.
- Zielony ludzik? – Zastanawiał się Kazimierz przekopując bazy i podbazy swojej pamięci, w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, odnośnie małych zielonych ludzików. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Nie spuszczać wzroku z Kazika i Józka ludzik zaczął „piskać” coraz głośniej, najwyraźniej komunikując się sam ze sobą w sprawie zaistniałej sytuacji.
- Cicho do cholery! – Krzyknął na niego Kazik tak samo jak krzyczał na glapy. Przy tym pogroził mu drągiem. Piski umilkły. Zastanawiał się, co z nim począć. Liście w jego gębie, to był niezbity dowód na to, że to on był rabusiem. Kazik jednak nie mógł skojarzyć, co to dokładnie jest za stworzenie i jak z nim ma postąpić. Początkowo planował, że zbójców złapie i złoi im skórę, ale tego malucha wstyd było bić. Tym bardziej, że niewiele większe to było od Józka i cherlawe i przestraszone do cna.

- Złazić z drzewa! – Zawołał Kazik. Tamten zaś wpadł w podwójny niepokój, że on czegoś od niego chce. Znowu zaczął piskać.
- Złaź, bo jak nie ... – zagrmiał i tu znów pokazał mu drąg, jaki na niego przygotował. Józek zaś zapałał do nieznanego stworzenia niespodziewaną sympatią.
- No zejdz ludziku... – namawiał go przymilnie. – My nic ci nie zrobimy... . No zejdz malutki – gadał naśladowując matkę, która w podobnym tonie zwracała się czasem do niego. W końcu zlął nieborak i stanął pod drzewem zdany na łaskę i niełaskę Kazika.
- Idziemy – rozkazał Kazik. Ruszył przodem oświetlając pochodnią drogę ale on nie ruszył się z miejsca. Dla dodania mu odwagi Józek złapał go za rękę. I tak z Kazikiem na czele, karawana ruszyła w kierunku rzeki. Nad rzeką Kazik przeniósł na drugi brzeg Józka z ludzikiem za jednym zamachem. Żadna to była trudność. Ostatnio przez rzekę przełaził tyle razy, że znał ten bród na pamięć. Oni zaś nie byli ciężcy. Kiedy pokazali się w domu z „rabusiem” Genowefa aż jęknęła z niedowierzania. Podobnie jak mąż pierwszy raz w życiu widziała takie dziwne stworzenie.
- Takie to małe i tyle zamieszania narobiło? - Dziwiła się. – Ale on w ogóle włosów nie ma na głowie! – Powiedziała nieco zawiedziona. Szybko jednak zorientowała się, podobnie jak Józek, że to bardzo miłe i grzeczne stworzonko.

Choć noc powoli witała się już z dniem, nikt z nich nie myślał o spaniu. Mieli w domu tak niecodziennego gościa, że jak najszybciej chcieli zaspokoić swoją ciekawość i dowiedzieć się kim jest, skąd się wziął w ich puszczy a przede wszystkim po co? Posadzili go na pryczy w kącie izby. Daleko od drzwi. Był tak mały, że zza stołu ledwie wystawała mu głowa. Przesłuchanie rozpoczęli wszyscy na raz. Wystraszony ludzik wodził za nimi swoimi małymi ślepkami jakby zdawał się czekać na najgorsze. To znaczy, kiedy oprawcy zaczną go obdzierać ze skóry. Każdy gwałtowniejszy ruch, był dla niego powodem do zdenerwowania. Rodzina Kazika na swoje pytania nie otrzymała odpowiedzi. Maluch, choć w jakiś sposób podobny do nich, nie rozumiał ludzkiej mowy. W końcu Kazik dał za wygraną. Zamknął drzwi na skobel u góry furty i legł wyczerpany nocną wyprawą na krzesło. Ziewnął kilka razy i zaczął drzemać. Zanim pójdzie z nim do drzewa-króla musiał odpocząć. Tymczasem obok ludzika usiadł Józek. Czuł, że jego, być może z racji podobnego wzrostu boi się mniej. Próbując przełamać barierę nieufności dotykał

go i głaskał. Miał miękką i delikatną jak świeży mech skórę, która bardzo mu się podobała.

- Pewnieś głodny? – Zagadnęła Genowefa chcąc go nieco ośmielić.
- Tak. Jest głodny – odpowiedział za niego Józek jakby jakimś cudem z jego zachowania umiał odczytać, co ma na myśli. Kubiakowa naląła kompotu w kubki. Na stole wylądowały dopiero, co upieczone placki czereśniowe z malinami. Ludzik jednak chyba nie bardzo wiedział, po co jest kubek, bo wpatrywał się w niego bez wyrazu z rękami grzecznie na kolanach.
- Oooooo... – odezwał się Józek - tak się pije... - Demonstracyjnie ujął swój kubek w dłoń i lekko zezując ku niemu czy aby uważa, zrobił soczysty łyk. Rękawem otarł usta. Ludzik zachęcony przez Józka, nieśmiało wyciągnął rękę po kubek. Kompot jednak rozlał się ludzikowi po buzi i na piersi.
- Nie, nie tak – zachnął się Józek widząc tą nieporadność. – Trzeba łykać. Ł y k a ć. Rozumiesz? O tu trzeba łykać – pokazał palcem w okolicy własnej szyi. Ale nic z tej nauki nie wyszło. Kaszłał i krztusił się raz za razem.
- Spróbuj placków jak kompot ci nie smakuje – Genowefa dobrodusznie podetknęła mu talerz pod sam nos. Ludzik sięgnął po placki. Zdążył się zorientować, że obdzierania ze skóry na razie nie będzie. Włożył placek do buzi i tylko trochę zadziamał ustami. Z obrzydzeniem odłożył go z powrotem. Patrząc na nich zdawał się mówić: „Co to za świństwo jedzą ci ludzie, którzy tu mieszkają?”
- Też ci nie smakuje? - Dziwiła się Kubiakowa - Józek bardzo je lubi. A może ... – Chciała zaproponować inny smakołyk.
- Mamo – przerwał jej syn. – Wiesz co? On chyba je tylko liście...
- Liście?
- Tak, przecież te drzewa z liści to on objadł.

Genowefa zastanawiała się przez chwilę, po czym wręczyła mu miskę.

- No to skocz Józek po trochę liści – odezwała się w końcu – chyba król nie będzie miał nic przeciwko jednej misce liści – zamamrotała do siebie, bo Józek wypadł z izby jak strzała i już tego nie słyszał. W tym pędzie o mało co, a wyrwałby ojcu skobel razem z futryną. Kubiakowa zabrała się do sprzątnięcia ze stołu posiłku, którego nie chciał zjeść ludzik. Ten zaś widząc, że drzwi po wyjściu Józka zostały uchylone zaczął zbierać się powolutku do wyjścia. Jakby zdawał się mówić: „Na mnie już czas, dziękuję za gościnę”.

- A ty gdzie! – Huknął naraz na niego Kazik z krzesła – Siadaj z powrotem! – wskazując miejsce za stołem z którego dopiero co mały się podniósł. Zmieszany stworek potulnie cofnął się do tyłu. Wrócił Józek z miską pełną po brzegi czereśniowych liści i z dumą postawił przed nim. Stworzonko zdecydowanie się ożywiło. Bez dalszego zachęcania zaczęło sięgać raz po raz po przyniesione liście. Zadowolony z siebie Józek przyglądał mu się z zainteresowaniem. Ludzik, przez jakiś czas kręcił z zapalem buzią, ale nagle zaczął wypluwać wszystko z obrzydzeniem. I to gdzie?! Wprost na podłogę! Patrzył przy tym na Józka jakby mu jakąś przykrość zrobił.
- Nic nie rozumiem – wzruszył ramionami chłopak – Przecież to twoje liście!? Nie lubisz liści? No to ja nie wiem, co ty chcesz jeść.
- Dajmy mu spokój – machnęła ręką Kubiakowa – Może jak odpocznie to coś zje? Wleźli z Józkiem na zapiecek zostawiając ludzika na pryczy a Kazika na krześle pod drzwiami. Ludzik zostawiony sam sobie zaczął coś cicho popiskiwać. W końcu wszedł na łóżko i usnął jak reszta rodziny. Zwinięty w kłębek.

Pobudzili się około południa. Kazik zabrał „rabusia” do drzewa-króla aby mu pokazać swą zdobycz i zasięgnąć rady co z tym fantem dalej począć. Ku jego zdumieniu król kazał mu się pozbyć zielonego ludzika tak szybko jak to jest możliwe, bo inaczej będzie z tego nieszczęście. Kazik nie bardzo rozumiał jakie to może być nieszczęście z takiego małego niedojdy ale był posłuszny królowi. Głodnego, bo w dalszym ciągu nic mu nie smakowało, wyprowadził na skraj puszczy i kazał zmykać gdzie pieprz rośnie. Zielony stworek zdziwiony całym tym zamieszaniem, bo najpierw złapał go z krzykiem, potem przetrzymywał u siebie w domu a teraz puszczał wolno bez najmniejszej krzywdy, nie do końca mógł uwierzyć, że właśnie o to mu chodzi. W końcu, kiedy upewnił się, że nie jest to żaden podstęp, ruszył w swoją stronę. Kazik przyglądał mu się jeszcze jakiś czas, ale zaraz odwrócił się na pięcie i zniknął w odstępach. Już czas było zająć się glapami, których coraz więcej ścigało do puszczy.

Jakieś dwa tygodnie później Kazik zauważył, że z Józkiem dzieje się coś dziwnego. Niby nic a jednak dziwnego. Stał się skryty, małomówny, roztargniony. Jakby nieobecny i myślami gdzieś daleko. Pewnie Kazik w ogóle by tego nie zauważył gdyby nie fakt, że przy przepędzaniu glap, Józek fatalnie pudłował strzelając do nich z procy. Niepokój ojca sięgnął granic, kiedy to Józek pewnego dnia ani razu dobrze nie przycelował żadnej w ogon. Tak jakby mu w ogóle na tym

nie zależało. Podzielił się swoimi wątpliwościami z Genowefą. Ta jednak złożyła wszystko na sprawy związane z dojrzwaniem syna i powiedziała, że ona nic dziwnego w tym nie widzi. A jeśli nawet coś się z nim dzieje, to szybko mu przejdzie. Kazik poddał się sugestii żony i postanowił cierpliwie czekać, aż syn odzyska dawna formę. Niestety działo się coraz gorzej. Józek regularnie posyłał kamienie, pestki i kije panu Bogu w okno, zamiast w glapy. Tego było już za wiele. Kiedy Józek nowym ostatnio zwyczajem oddalił się sam w ostępy puszczy, Kazik postanowił go śledzić. Krok w krok. I tak dotarł za nim, aż na obrzeża. Do miejsca, w którym rzeka kończyła swój puszczański bieg i przechodziła w pola. Ku jego zdumieniu Józek wyszedł poza granice puszczy jakby nigdy nic. Jakby w ogóle nie bał się tego, co jest poza nią. I jakby... nie robił już tego pierwszy raz. Czyżby chodził bez jego wiedzy do miasta? Czyżby spotykał się z kimś stamtąd? Ale Józek nie chodził do miasta. Pięćdziesiąt metrów od ściany czereśniowych drzew, w wysokiej trawie rosła kępa olch. To do niej jego syn kierował swe kroki. Przez pewien czas Kazik nie reagował tylko czekał, co z tego wyniknie. Zbyt długo to jednak trwało. Zniecierpliwiony, najpierw chyłkiem a potem czołgając się, dotarł na miejsce. Rozgarnął ostrożnie trawy, które były pozostałością po oczku wodnym w tym miejscu. A tam w dole, na małej polance, jego syn jak mały turecki wódz prowadził naradę. Naradę z zielonym ludzikiem, którego dopiero co Kazik przegnał z puszczy i o zgrozo były tam też trzy glapy! Rozpoznał je od razu. To był Dziobaty, Kulawy i Suchotnik. Szefowie glapich gangów! W pobliżu kręciło się jeszcze kilka innych pomniejszych glap. Zapewne ze świty tych trzech najważniejszych. Wszyscy prowadzili jakąś dyskusję zupełnie dla Kazika niezrozumiałą. Niezrozumiałą, bo ludzik pisał po swojemu, glapy skrzeczały a Józek wciąż powtarzał, żeby się uspokoili, bo z czymś nie można się było śpieszyć. Oslupiony Kazik nie wiedział zupełnie, co ma oznaczać ta komitywa. Nagle do olch sfrunęły inne glapy. Te które przyleciały, zaczęły coś szeptać na ucho swoim dowódcem. Rozmowy umilkły i wszyscy zaczęli rozglądać się wokół jakby czegoś szukali. Kazik natychmiast wycofał się ze swojego punktu obserwacyjnego i biegiem puścił do domu. Tutaj czekała na niego kolejna niespodzianka. Genowefa o wszystkim wiedziała i to od samego początku. Tylko Kazik nie był wtajemniczony w plan. Zanim zdążył się czegokolwiek dowiedzieć wrócił Józek. Widać musiał ruszyć w drogę do domu zraz po nim. Usiedli na ławce przed chatą. Po minie ojca zrozumiał, że nie jest dobrze, że wszystko się wydało.

- Co ty Józek robisz? – zapytał z wyrzutem Kazik. – Wygoniłem ludzika z puszczy a ty się z nim w tajemnicy przede mną spotykasz? Ale pal licha ludzika – zamachał nagle rękami, bo przypomniało mu się to gorsze. - Co ty robisz razem z glapami?! Jak to może być, że wy razem ..., przecież masz bronić puszczy właśnie przed nimi!

Józek po słowach ojca spuścił głowę tak nisko, że prawie dotykał brodą klatki piersiowej. Genowefa wytarła dłonie w fartuch i milczała. Ciężko jej było przychylić się do którejkolwiek ze stron konfliktu. I jeden i drugi miał rację. Józek nie wiedział, od czego zacząć.

- Wygoniłeś ludzika... – chlipnął w końcu.
 - Wygoniłem, bo król kazał – uciął krótko, żeby nie było na ten temat dyskusji.
 - No to wiedz, że jak go wygoniłeś to on tam umrze – wypalił syn.
 - Jak to umrze? – ojciec poczuł się trochę zbity z tropu. Nigdy by nie przyszło mu na myśl, żeby kogoś pozbawiać życia. Weźmy na ten przykład ptaszyska. Choć ich nie cierpiał i tępił zajadle, to nigdy żadnego nie zabił. Nawet przez myśl mu to nie przeszło.
 - Umrze, bo on nie ma co jeść.
 - On je tylko liście – wtrąciła Genowefa wspierając syna w tłumaczeniu skomplikowanej sytuacji.
 - Przecież nie chciał ich jeść jak u nas był – odparował jej.
 - Bo to są takie specjalne liście z tego miejsca gdzieś go złapał. Tam, za rzeką – wskazała ręką, choć wszyscy dobrze wiedzieli gdzie to jest.
 - A glapy? – Dociekał Kazik, bo tego już nie mógł zrozumieć.
 - Glapy karmią ludzika – teraz odezwał się Józek.
 - Glapy karmią ludzika? Jak to?
 - Ludzikowi nie wolno wchodzić do puszczy. Siedzi, więc sobie w kępie olch a glapy przynoszą mu jedzenie – szybko wyjaśnił syn.
 - Taka mają umowę – odezwała się znowu Genowefa. – Ludzik nie zbliża się do puszczy, żeby nie wchodzić w drogę królowi. Józek nie przegania glap, bo te przynoszą ludzikowi liście.
- Kazik zamilkł. Układał sobie wszystko w głowie.
- Żeby ratować ludzika zawarłem umówiłem się na zgodę z trzema gangami. Tylko Glaperia nie chciała nam pomóc - dodał Józek.
 - Ty umiesz z nimi rozmawiać? - Kazik nie do końca mógł wszystko pojąć.
 - Z glapami nie. Ale ludzik potrafi. Ja zaś trochę rozumiem co on mówi.

Kazik wstał z ławki. „Co teraz będzie?, Co ja powiem królowi?” Zastanawiał się głośno. „Mam przecież bronić puszczy a nie pozwolić by ją okradano”.

- Nic nie będzie – odparła żona. – Niech zostanie tak jak jest. Chyba król nie ma nic przeciw temu?
- Nie, nie, nie. To nie może tak być – jęczał Kazik – On mówił, że będzie z tego nieszczęście.
- Nieszczęście miało być jak był w puszczy. Ale teraz w puszczy go nie ma.
- Ale drzewa objada!
- Tak objada, że twój król tego nawet nie zauważył – odcięła się Genowefa. – W ogóle mu o tym nie mów, a potem się zobaczy. Może ludzik pójdzie sobie jak przyszedł? Skądś się wziął, to i dokądś pójdzie. Prawda?

Kazik musiał zostać sam. Musiał to przemyśleć. Nic więcej nie powiedziawszy odszedł między drzewa. Matka i syn spojrzeli po sobie.

- Nie martw się - powiedziała dobrotliwie. - Ojciec na pewno nie da mu zginąć. Strapiony strażnik puszczy, chcąc nie chcąc musiał wybierać pomiędzy posłuszeństwem królowi a szczytnym celem, jaki wskazał mu Józek. Nie mógł przecież pozwolić, aby stworek zdechł z głodu z jego winy. Jaki by nie był, nie chciał przykładać do tego ręki. Stało na tym, że nic królowi nie powie dopóki on sam o to nie zapyta.

Czereśniowego króla nie dało się jednak oszukać. Jego drzewa-wojownicy wypatryli Józka i ludzika i donieśli mu o tym. Między nim i Kazikiem doszło do prawdziwej kłótni. Król zażądał bezwarunkowego usunięcia przybysza tak daleko od puszczy, aby ten nigdy nie mógł doń wrócić. Nie przemawiały do niego żadne argumenty. Ani ten, że szkody jakie wyrządza są nikłe ani ten, że ludzik bez puszczy zginie. A na to Kazik nie mógł się zgodzić. Po raz pierwszy w życiu poszedł z królem w zaparte. Postanowił przetrzymać go do zimy. A jeśli w dalszym ciągu nie miałby zamiaru odejść, wtedy zrobi tak jak król chce. Bardziej od gniewu czereśniowego króla bał się, że może stracić Józka. Stracić pod względem przydatności do pilnowania puszczy. Co by to był za pożytek, żeby wygnać ludzika i mieć w domu chłopaka obrażonego na cały świat, który w nosie ma przeganianie głap i który w odwecie może zacząć czmychać do miasta. Kazik nie rozumiał, dlaczego król nie dostrzega tak prostej zależności. Było, więc tak jak sam postanowił. Józek nie brał udziału w obronie drzew. Pod warunkiem jednak, że będzie się trzymał z dala od głap i robił wszystko, żeby wywieźć się, jakie zielony

stworek ma plany na przyszłość. Miał mu dać do zrozumienia, że z pewnych względów nie jest tu mile widziany. Ma szybko załatwić to, co ma do załatwienia i odejść. Mimo kłótni z królem, Kazik nie pozwalał ludzikowi wchodzić do puszczy w dalszym ciągu. Ale pewnego dnia sytuacja zmieniła się diametralnie. Józek złamał zakaz i przyprowadził stworka do domu.

Nigdy by sobie na to nie pozwolił, ale spotkał w puszczy obcego człowieka, który szukał jak wynikało z opisu właśnie małego zielonego ludzika.

- No to trzeba mu go oddać – powiedział ucieszony Kazik. To mogłoby rozwiązać problem.
- Ale on nie chce z nim iść! – Zawołał Józek.
- Jak to nie chce?
- Boi się go gorzej niż nas się bał. On chce zrobić mu coś złego.
- A jak wyglądał ten człowiek? – Zaciekawiał się Kazik – Czy był podobny do ludzika?
- Nie. Ani trochę. Był ... taki normalny – Józek szukał w myślach odpowiedniego słowa na określenie spotkanego człowieka, ale nic poza „normalny” nie przychodziło mu do głowy.
- Ludzik jak zwierzak – wzruszył ramionami Kazik – może mu uciekł i go szuka? Ty też nie zawsze wiesz, co jest dla ciebie najlepsze a mnie się słuchać nie chcesz.
- My nie możemy mu go oddać... .
- A to dlaczego? – Kazik zaczynał się z wolna irytować tą szczenięcą naiwnością Józka. – To nie nasza sprawa. U nas jest zguba i znalazł się właściciel. To chyba dobrze?
- Niedobrze.
- Nie?
- Niedobrze, bo ... bo my musimy mu pomóc.
- A w czymże to musimy mu pomóc? – Dziwił się Kazik szczególny nacisk kładąc na słowo „musimy”. Jakby chciał podkreślić, że on nic nie musi.
- Przedostać się na drugą stronę lustra.
- Jaką drugą stronę? Jakiego lustra? Co ty bredzisz Józek? Ten ludzik nakładł ci do głowy jakiś bajek! U nas nie ma żadnego lustra.
- U nas nie ale u nich jest... . Musimy mu pomóc, bo będzie z tego nieszczęście.
- Znowu?! – jęknął Kazik – Co to za cholerne lato przyszło na ten rok! Wciąż tylko słyszę o jakiś nieszczęściach. Czy to się kiedyś skończy?

Weszli do chałupy. Ludzik siedział u Genowefy na kolanach. Cały dygotał ze strachu. Na widok Józka zapiszczał coś do niego po swojemu.

- On idzie – przetłumaczył Józek.
- Kto? – zdziwił się Kazik.
- No ten człowiek. Idzie tu po niego... – powiedział i pędem rzucił się do ryglowania drzwi.
- Zostaw! – Krzyknął ojciec ale Józek go nie posłuchał. Sam zaś nie wziął się i nie przeszkodził mu.

Przypadli do okna. Do wąskiej szpary w okiennicy. Rzeczywiście po chwili pojawił się przed chatą jakiś człowiek. Czy był „normalny”? Z wyglądu tak i z zachowania niczego mu nie brakowało. Było w nim jednak coś upiornego. Coś, czego nie można było nazwać od razu. To się bardziej czuło niż wiedziało. Przez jakiś czas krążył wokół chaty, aż wreszcie zapukał do drzwi. Kazik odchrząknął.

- Kto tam?
- To ja. Rodrigez – odpowiedział przybysz jakby się znali.
- Nigdy nie słyszałem – odparł Kazik – Czego chcesz?
- Szukam chłopca, ... jest ... - zastanawiał się nad opisem - ... nieduży, ma zieloną skórę i małe oczy i ... w ogóle łatwo go rozpoznać

Kazikowi serce skoczyło do gardła. To była ta chwila, od której wszystko miało się zdecydować. Spojrzał na Józka, który dawał mu rozpaczliwe znaki względem okazania miłosierdzia dla ludzika. Spojrzał na Genowefę i małego na jej kolanach zastygłego w dygotach i przerażeniu. Pot zrosił mu czoło. Otarł go ręką przy łokciu i znów odchrząknął.

- Tu takiego nie ma – odparł w końcu. A Józek aż z wrażenia osunął się na podłogę i oparł plecami o ścianę.
- I nie widzieliście go? – pytał głos zza drzwi.
- Nie. Nie widziałem – potwierdził Kazik.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem coś jakby chrobot, stukot i jakby tamten napierał ręką na drzwi chaty.

- O co chodzi? – zapytał Kazik widząc te podejrzane próby.
- O nic – odparł głos – Szukam chłopca. – Kazik wyrwał skobel i gwałtownie uchylił drzwi. Tylko na tyle by zrobić małą szparę i by tamten nie mógł zajrzeć do środka.
- Mówiłem – warknął – Tu go nie ma.

Przybysz uśmiechnął się do Kazika.

- Nie ma ..., szkoda ... – rozłożył ręce – Pójdę szukać dalej.
Odwrócił się i ruszył tam skąd przyszedł. Oddalając się sięgnął ręką do naczynia na pniu wypełnionego po brzegi liśćmi. Nie zatrzymując się ujął jeden z liści w dłoń i włożył sobie do ust. Pokiwał głową z uznaniem tak jakby smakował jakiś zamorski rarytas.
- Poszedł? – dopytywał się Józek.
- Poszedł – potwierdził Kazik.
- Oj ty nieboraku – usłyszeli nagle głos. Genowefa kwiliła nad ludzikiem. Ludzik był tak wyczerpany całą sytuacją, że o mało nie zemdlął. Teraz ledwie zapał. – Musisz natychmiast odpocząć – gadała do niego biorąc na ręce i zanosząc do łóżka – Józek, przynieś mu trochę jego liści – zakomenderowała – bo straci wszystkie siły.
- Już biegnę – zawołał ochoczo Józek. Wybiegł przed chatę i zabrał naczynie z pnia na którym stało, a które wcześniej tam zostawił. W drzwiach zatrzymał go Kazik.
- Obcy zeżarł liść – powiedział do syna pełen niepokoju, wzrokiem wskazując na miskę.
- No to co? – zdziwił się Józek ale zaraz się skonfrontował – Zeżarł?
- Mhm – pokiwał głową Kazik – Zeżarł... i nie wypluł

Było to zaraz jakoś po kolacji. Ludzik wyglądał już trochę lepiej ale nie na tyle, by móc samodzielnie się poruszać. W pewnej chwili znów zaczął dygotać. Kazik rzucił się do okna. W puszczy coś się działo. Ktoś się zbliżał. Jacyś ludzie. Jeszcze nikogo nie było widać, ale szum jaki robili przedzierając się przez chaszczę i zarośla świadczył o ich dużej sile. Wreszcie, jego pełnym niepokoju oczom ukazał się cały szereg ludzi. Będzie ze dwudziestu. Z kijami, siekierami i pochodniami. Prowadził ich obcy, który odwiedził ich wcześniej. Tym razem Kazik pierwszy rzucił się do ryglowania drzwi. Zatrzasnął okiennice. Spojrzał z wyrzutem na Józka i na Genowefę za to, że tak uparcie obstawali przy tym, by litować się nad ludzikiem i go nie wyrzucać. Zganił też siebie za to, że nie posłuchał króla. Gwar przed chatą robił się coraz wyraźniejszy, coraz groźniejszy. Słyszeli wrogie okrzyki.

- Wszyscy na zapiecek! – Rozkazał Kazik przygotowując w ten sposób rodzinę do obrony. Nie czas było teraz wylewać żale. Przybyli ludzie otoczyli dom.
- Oddaj panu dziecko złodzieju! Oddaj dziecko! – Przekrzykiwali się nawzajem. Krzyczeli zaś tak głośno i tak groźnie, że Kazik odniósł wrażenie, iż przyszli tu po niego a nie po ludzika. Usłyszeli głuchy łomot. Tamci widząc chatę zamkniętą na głucho, zaczęli rzucać w nią kamieniami. Kamienie furcząc odbijały się od ścian i

od drzwi. Kazik biegał w panice to od szpary w oknie, to do szpary w drzwiach. Chciał zorientować się, jakie są szanse na rozejm w tej trudnej sytuacji. Bo jeśli wszyscy ruszą naraz niechybnie wedrą się szybko do środka i wtedy nie będzie już czasu na tłumaczenia. Co z nimi zrobią? Zwiążą? Wywiozą? Spalą dom?

Obcy na razie nie odzywał się wcale. Półgłosem kontaktował się tylko z szefem przyprowadzonych przez siebie zbirów z Pawłowska. Naradzając się kiwali nawzajem głowami. Kazik znowu był w kropce. Ale wątpliwości miał coraz mniej. Obejrzał się za siebie. Zza zapiecka wystawały trzy głowy. Genowefy, Józka i ludzika. Tym razem Genowefa i Józek nie byli mniej wystraszeni niż ludzik. „Muszę ratować rodzinę” – pomyślał Kazik. Skoczył na taboret i wyciągnął ludzika za skórę na karku na środek pokoju. Nie przysporzyło mu to większych trudności, ponieważ ludzik był bardzo słaby i cherlawy. Bardziej niż zwykle. Postanowił im go oddać. Józek natychmiast rozryczał się. Ale Kazik nie wiedział czy to znowu z powodu ludzika, czy tym razem dlatego, że był sam przestraszony sytuacją. Kazik jeszcze raz zerknął przez szparę w drzwiach. Obcy uniósł akurat dłoń w górę, żeby uspokoić wzburzonych kompanów.

- Hej! Wiem, że on tam jest w środku – zawołał do Kazika. – Lepiej mi go oddajcie! On nie należy do was. Jest mój!

Zdesperowany Kazik już sięgał do skobla, żeby wypchnąć ludzika na zewnątrz i żeby dali im spokój, kiedy z drugiej strony chaty ktoś inny krzyknął:

- A potem zajmiemy się Tobą! Nie będziesz więcej rzucał czarów ani na nasze ani na obce dzieci! – W te słowa, reszta zbirów fuknęła na kompana, żeby się zamknął i trzymał mordę na kłódkę, bo „dzikus” się przestraszy i w ogóle nie wyjdzie z chaty. Potem nastąpiła jeszcze tylko chwila wahania i zaczęli rąbać siekierą okiennicę. Poszła prawie natychmiast w drzazgi. Kiedy wydawało się, że dla Kazika i jego rodziny kończy się życie, nagle w puszczy zakotłowało się po raz drugi. Tym razem nie w krzakach, ale w koronach drzew. Atakujący zaprzestali na chwilę swego szaleństwa. Poodwracali głowy. Tymczasem w tejże sekundzie, kiedy zastygli w bezruchu, tak jakby na umówiony znak, na przybyłych ze strasznym wrzaskiem rzuciło się dziesiątki, setki glap. Ze wszystkich stron rozległ się trzepot dziesiątek, setek skrzydeł tnących powietrze jak ostrze noża. Aż chyłący się ku zachodowi dzień zrobił się czarny jak noc. Powstał nieopisany rwetes i harmider. Obcy zaskoczeni niespodziewanym atakiem na swoje tyły zaczęli osłaniać głowy, szyje, oczy, ręce przed uderzeniami ptasich dziobów i szponów. Wielu z nich się to nie

udało i od razu odnieśli głębokie rany. Porzucili łomy, siekiery i zaczęli uciekać. Wykorzystując powstałe zamieszanie poprzez roztrzaskaną okiennicę wleciały do domu trzy z nacierającego mrowia glap. Suchotnik, Dziobaty i Kulawy. Ci sami, którzy debatowali wcześniej z Józkiem i ludzikiem w kępie drzew. Zaskoczony Kazik dopiero teraz wypuścił rękę ludzika uwalniając ją ze swojej wielkiej dłoni. Józek błyskawicznie zlął z zapiecka. Doszło między nimi do gwałtowanej dyskusji. Takiej, jaką już kiedyś Kazik widział. Ludzik piszczał, glapy skrzeczały a Józek gadał ludzkim głosem. Jak gwałtownie ta dyskusja się zaczęła tak gwałtownie się zakończyła. Wszyscy gapili się teraz na niego.

- Tato, możemy się uratować, ale musisz mi zaufać – zaczął nieśmiało Józek. Kazik ani nie drgnął ani się nie odezwał. Jak zahipnotyzowany patrzył na glapy, wciąż nieświadomie drugą ręką zapierając drzwi przed wywarzeniem.
- Dobrze tato? – Józek zaczął podchodzić ostrożnie do ojca. Tak ostrożnie jak to tylko było możliwe.
- Pochodnie! Dawać pochodnie! – Wołano za drzwiami. Rozpoznali głos Rodrigeza. Który przystępował do kontrataku na glapy – Więcej ognia! Spalić te ptaszyska! Józek przywołał ludzika bliżej Kazika.
- Zaufaj mi..., proszę – błagał Józek. Po czym pchnął lekko przed siebie ludzika, tak aby ten, znalazł się możliwie jak najbliżej ojca. Ludzik delikatnie oparł dłonie o pierś Kazimierza. Wspiął się na palce i wydał usta jak do pocałunku. Czekał. Kazik nie reagował. Wbił oczy w połowę od siebie niższego ludzika jakby nie rozumiał czego on chce. Ludzik spojrzał na Józka. Józek na ojca. Kazik wolno, przeraźliwie wolno zgiął kolana. Szorując plecami po drzwiach zsunął swą twarz do wysokości twarzy ludzika. Zielony maluch odgarnął mu włosy z czoła i pocałował w sam jego środek. A było to jak muśnięcie skrzydłem motyla. To, co się dalej stało z Kazikiem trudno opisać. Zaczął się zapadać do wewnątrz, kurczyć i wydawało mu się, że świat się wali.

Józek wziął ojca delikatnie w obie ręce, tak żeby nie zrobić mu krzywdy i podniósł z podłogi. Przez chwilę zastanawiał się, co z nim zrobić, aż w końcu postawił go na taborecie. Kazik nie był teraz większy od żadnej z glap.

- Szybciej, kurwa! Moi ludzie nie dają rady! – Usłyszał nagle tubalny okrzyk. Kazik rozejrzał się wokół, kto tak szpetnie zaklął, bo Józek to nie był z całą pewnością. I aż mu szczeka opadła, kiedy odkrył, że to Suchotnik! Nie dość, że w mgnieniu oka

Kazik zmalął, to jeszcze zaczął rozumieć mowę glap. Suchotnik z parapetu obserwował bitwę przed chatą.

- Szybciej! Zaraz będzie za późno! – Znowu ponagłał. Tymczasem Józek doprowadził słabego ludzika do Genowefy, która tak samo jak mąż pozwoliła mu się ucałować w czoło i tak samo stała się mała jak on. Syn postawił ją na stole. Obok Kazika na taborecie wyładował Dziobaty. Lądując narobił skrzydłami takiego wiatru, że Kazik o mało nie spadł na ziemię. Nagle Dziobaty zamachnął się i nim Kazik zdążył się zorientować kopnął go z całej siły w tyłek. Porządnie go zabolalo.
- Sorry, ale nie mogłem się powstrzymać. Musiałem dać ci kopa za te wszystkie lata, kiedy nas przeganiałeś z drzewa na drzewo - Kazik masując obolałe miejsce nawet nie zdążył jęknąć ani wydać z siebie żadnego odgłosu.
- Panowie! Idzie odsiecz! – Zawołał od okna Suchotnik. Na zewnątrz wrzawa jakby po chwilowym uspokojeniu znów zrobiła się większa. Obcy znów byli w odwrocie. To czwarty dowódca ptasiego gangu Glaperia, rzuciła swoje hufce do boju. Zaraz też widząc Suchotnika w oknie wzięła na nie kierunek i jak strzała wpadła do izby.
- Glaperia?! Ty tutaj! – Krzyknął rozradowany Józek. Kazik usilnie rozglądał się gdzie jego syn stoi, ale nigdzie nie mógł go dostrzec po zmniejszeniu. Był tak mały, że mógł być wszędzie, nawet za kubkiem od kompotu.
- A co myśleliście? Widzę przecież, co się dzieje! Mam stać z boku i przyglądać się jak tamci zaczną niszczyć naszą puszcę? To już wolę tych – tu popatrzyła na Kazika w pierwszej kolejności. Kilka błyskawic zemsty przebiegło jej przez myśl, ale szybko się z nimi uporała.
- Czy wszyscy już gotowi? – Zapytał zniecierpliwiony Kulawy.
- Nie, jeszcze nie – zawołała grubym głosem Genowefa, który zupełnie do niej teraz nie pasował. Na stole mocowała się z jakimś sporych rozmiarów tobołkiem. Dopiero po chwili Kazik zrozumiał, że jest to jej ukochany zestaw fryzjerski.
- Zostaw te klamoty! – wydarł się na nią Kulawy. – To już do niczego nie będzie ci potrzebne!
- Ludzik! Ludzik! A gdzie ludzik!? – Wołał teraz Józek. Wszyscy zaczęli rozglądać się po izbie. Ludzik zaś usiadł w kucki w najdalszym z kątów. Widząc, że się o niego dopytują zapisał smutno.
- Ale dlaczego? – Dopytywał się Józek w odpowiedzi. I glapy też zaczęły doń krzyczeć, żeby się ratował. Ale ludzik nie chciał na nikogo patrzeć. Piskał coraz ciszej i coraz smutniej. Józek załamany opuścił ręce. Ponaglany przez Kulawego, w

milczeniu wsiadł mu na plecy. Obok nich wylądował Suchotnik, który miał zabrać w taki sam sposób Genowefę.

- Wsiadaj – trącił skrzydłem Dziobaty Kazika i nadstawił plecy – to widocznie musi tak być, że on tu chce zostać.
- Pośpieszcie się! – Zawołała jedyna kobieta pośród glap, która teraz zastępowała w oknie Suchotnika – Ludzie odzyskują przewagę nad nami! – To mówiąc zatrzepotała skrzydłami i wzbiła się w powietrze. Kolejno jej śladem podążył Suchotnik z Genowefą i Dziobaty z Kazikiem. Kazik musiał go mocno trzymać za szyję, żeby nie spaść. Z góry poprzez dym i ogień zobaczył pole bitwy usłane glapami, które poległy w ich obronie. Widział też poranionych ludzi z Pawłowska, którzy przyszli go napaść. I miotającego się ze wściekłości między nimi Rodrigeza, który próbował zebrać ich wszystkich do kupy.

Józek po raz ostatni spojrzał na ludzika. Oczy zaszyły mu łzami. Dał znać Kulawemu. Obaj wzbili się w powietrze. Zrobili koło wewnątrz izby jakby na pożegnanie i wylecieli przez okno. Zbyt długo jednak zwlekali! Tuż za oknem czarna płachta zwała się na nich przyciskając do ziemi. To Rodrigez, widząc co się święci, podbiegł do okna i akurat w momencie kiedy wylatywali, rzucił na nich swój płaszcz. Rzut był mistrzowski. Kulawy runął omotany w fałdy materiału w dół a Józek wraz z nim. Rodrigez już miał ich pojmać, już miał pochwycić swą szamoczącą się zdobycz, ale wtedy ziemia zadrżała ze wszystkich stron. Król czereśniowe drzewo, wy dobył z ziemi swe potężne korzenie i ruszył im na pomoc. Wielkie konary chwyciły Rodrigeza w pól i odrzuciły na bok. Reszta bandy w popłochu zaczęła uciekać przez zarośla w kierunku miasta. Król rozprawiwszy się z wrogiem, odsunął płaszcz i ujął Józka razem z Kulawym w liściową kołyskę. A potem wyniósł ja z gałęzi na gałąź hen, hen tak wysoko jak tylko zdołał ponad całą puszcę.

- Dziękuję Królu – powiedział Józek z wdzięczności za uratowanie życia. Król zaś najpierw przypatrzył się im a potem uśmiechnął.
- Nie. To ja wam dziękuję – usłyszeli – Tobie zaś Kulawy w szczególności.
- Mnie? A za co? Przecież to ja objadałem twoją puszcę z czereśni – Kulawy jeszcze nie skończył mówić a już podniosła się inna gałąź i posunęła ku nim.
- Zerwij ją – powiedział Król, wskazując na ogromną czereśnię - W nagrodę za to, że pozwoliliście mi zrozumieć co tak naprawdę jest ważne.

- A co takiego? – zdziwił się Kulawy. Ale król nie odpowiedział. Znowu się uśmiechnął.
- A ty Józek – zawahał się – nie zapomnij o co prosił cię ludzik... .
- Nie zapomnę. Przyrzekam – odparł wzruszony Józek.
- Do zobaczenia!– krzyknął, kiedy wzbili się już w powietrze, by jak najszybciej dogonić swoich.
- Do zobaczenia ... – westchnął król.